Przyjaciel Ludu.

ROK ÓSMY. **No. 51.** Leszno, *dnia* 18. *Czerwca* 1842.



Dzieciątka Jezu pierwsze wyjście.

Pan Jezus dzieciątkiem.

Eliza, córka księżniczki pruskiéj Ludwiki, tak znakomitéj rozumem i cnotami, i księcia Radziwiłła Antoniego, pełnego talentów i uprzejmości, zgasła w kwiecie wieku, *tak młodo*, że dwojaki skarb, dwojaki urok uniosła z sobą, niewinność duszy anielskiéj i niewyczerpaną tkliwość serca namiętnie czułego, *a nie tak młodo*, aby nie doznała omamień, burz, goryczy, ofiar i umordowania życia pełnego wszystkich uczuć, które upromieniają wzniosłością umysł, a rosą czystych łez i dźwiękiem cichym westchnień, jakby całego przyrodzenia barw najmilszych odbicie nadają pięknéj, cnotliwéj istocie. A taką była Eliza. Chlubą, szczęściem była rodziców i kochającego ją rodzeństwa, pociechą i wdzięcznym wzorem dla przyjaciół, siostrą dla nieszczęśliwych, dla tych, co na nią tylko patrzali, lubym obrazem, dla wszystkich została dzisiaj wspomnieniem, do żadnego innego w świecie nie podobném, pełném słodkiéj, żałosnéj roskoszy. Wychowanie odebrała niemieckie, nawyknienia, akcent mowy, ułożenie miała niemieckie, a przecież całą duszą Polką była. Wszystko ojczyste wiedziała, znała sumiennie, czuła żywo i głęboko. Gdy tego, co polskiego, nie umiała, nękało ją to bolesném zawstydzeniem. Zdawała się ulegać magnetycznemu pociągowi, gdy z Polakami i z Polkami przebywała. Gdy na obcéj ziemi mówiła o Polsce, na przemianę hardo, tęschnie, śmiało, tkliwie z upodobaniem mówiła, z serdeczną ciekawością pytała. Gdy na ojczystéj, zdawała się być liliją wonniejszą, bo na rodzinnéj kwitnącą niwie; ptaszyną wdzięczniéj śpiewającą, bo cieszącą się życiem pod własną strzechą; perłą bielszą, łzawszym urokiem lśniącą, bo na dnie morza rodzinnego pieszczoną. Piękną twarz miała Eliza, ale nie doskonałością rysów, tylko pięknością serca. Oczy błękitu prawdziwie niebieskiego i niebiańskiego, spojrzenie trafiające do duszy, uśmiech łagodny, kibić cudownie gipką, układ tchnący dziewiczą powagą i lubością razem. Dusza jéj objawiała się często w różnych pomysłach, które kreśliła ołówkiem i pędzlem. W nich zawsze moc wiary, lub tkliwość serca, lub żywość wyobraźni, malowały się na przemianę; nigdy nie kopjowała, naśladować nie lubiła. Tak miała silne wrodzone uczucie prawdziwéj piękności, że patrząc na doskonałość oddania jéj myśli z tą proporcyą i harmonią, można w nich upatrywać dzieła mistrzowskiéj ręki, ona tylko *odgadywała* prawa i tajemnice sztuki. Obraz jéj *pierwszego kroku Chrystusa Pana*, w boskiém niedołęztwie dzieciństwa swego, jest arcy-dziełem: tylko aniołki, strzegące go z troskliwością i poszanowaniem, są świadkami, jak w ubogiéj izdebce ojca mniemanego, postrzega święte dziecię, dwa kawałki obrabianego drzewa, złożone przypadkiem na kształt krzyża; tam drobniuchną rączką wskazuje, powstaje, postępuje, to cel pierwszego, każdego, i ostatniego kroku! W aniołkach widać trwożliwe podziwienie, głębokie uczczenie, rzewne zrozumienie. W Chrystusie gotowość i pośpiech nieograniczonego poświęcenia, uwielbienie ojca swego, smętność bolesną, znajomość srogości męki swojéj, miłość ludzi, a przeciez jest prawdziwém dziecięciem, słabém i maleńkiém. Obraz ten pojmie i oceni każdy Chrześcianin, każdy, co go zobaczy, będzie wiedział, że piękna, czysta, tkliwa, bolejąca dusza, tchnęła pod tym czarodziejskim pendzlem. Ależ jakiéjże jest niezmierzonéj ponęty dla tych, co ją znali i kochali, co nad nią płakali, co jéj nigdy zapomnieć nie mogą! Przyjaźń niepocieszona straty Elizy te słów kilka hołdu z ulgą serca skreśliła, z miłém uczuciem i przekonaniem, że nie jedno sympatyczne westchnienie czytelnika odpowie echem tkliwém i żałosném westchnieniu piszącéj.

Dyaryusz dostateczny wjazdu i aktu koronacyi Króla Jegomości Augusta II.

(Dokonczenie.)

His peractis naprzód sam X. kujawski nisko się Królowi J. M. pokłoniwszy, siedzącemu na tronie, powinszował; po nim zaś biskupi, senatorowie, urzędnicy, nareszcie, kto się mógł docisnąć z szlachty, krój szaty całowali, winszując Królowi J. M., którym się wszystkim *affabilissime* skłaniał. JMX. *Consecrans* odszedł od tronu do ołtarza i prosekwował Mszą ś. *Post offertorium* dwaj biskupi, którzy byli zostali przy tronie, prowadzili Króla JM. do ołtarza, któremu klęczącemu dał *consecrans* jabłko złote, *et perlecta benedictione* znowu biskupi odprowadzili go na tron; tu znowu krzykniono: *Vivat! populo acclamante*, aż się Król uśmiechał. Odeśli zatem biskupi od niego, a msza ś. *continuabatur*. Jak skoro przyszło do *Pax Domini*, przynieśli mu biskupi, relikwią świętą, którą pocałowawszy, szedł z nimi do wielkiego ołtarza *et cum summa devotione* sam sobie z głowy zdjąwszy koronę, przystąpił do ś. komunii, potém wdziawszy koronę powrócił na tron. Tak skończona Msza ś. i benedykcya dana ludowi. Potém ruszył się Król J. M. z tronu i rozrzucał pieniądze albo numizmata, na których jednéj stronie było berło z mieczem na krzyż w koronie z napisem: *Reget et defendet*, na drugiéj jego wizerunek z tytułem i wyrażeniem dnia koronacyi. Słano mu drogę suknem czerwonem, od tronu przez kościół, ulicę, dziedziniec, wschody aż do samego pokoju, którędy szedł z tronu *cum assistentia* senatorów, chorążych i panów *in toto ornatu* w koronie z berłem i jabłkiem, jako na tronie siedział i tak *feliciter regnaturus processit* do zamku, gdzie zawołany bankiet na Ich MM. Panów senatorów i posłów postronnych także wszystkiego

rycerstwa polskiego nagotowano. W cukrach reprezentowane były kolligacye postronnych monarchów. Z dział bito na *Vivat* Króla J. M., Cesarza J. M. i Cara J. M. moskiewskiego i innych kolligatów.

Dnia 16. jechał Król Jegomość po obiedzie z zamku **Pompose** przed ratusz krakowski, gdzie mu było wystawiono *theatrum* obszerne, czerwoném suknem obite, i tron pod baldachinem, a od zamku aż do samego ratusza stały dwiema rzędy piechoty królewskie w barwie czerwonéj, płaszcze zawinione na sobie mające, z podszyciem białém. Za niemi drugim rzędem stały piechoty węgierskie różnych panów. Od bramy tryumfalnéj na grodzkiéj ulicy aż do samego ratusza stali arkabuzyerowie w koletach i zbrojach; było ich około trzech tysięcy na koniach. Ruszyła się tedy od zamku o godzinie pierwszéj naprzód chorągiew jedna pancerna z dzidami, proporce na nich żółte z czerwoném; ta była królewska. Po niéj następowali grenadyerowie królewscy, w barwie czerwonéj, piechotą; na głowach mieli czapki nakształt infuły czerwone, a na białém dnie herby królewskie przyszyte; tych jedna była chorągiew. Po nich szły trzy chorągwie piechoty królewskiéj w czerwieni; oficerowie także w czerwieni pod białemi piórami; pendenty mieli czerwone, białą kitajką przewinione. Potém szła chorągiew arkabuzyerów w koletach zbrojno. Oficerowie w szatach koloru perłowego z srebrnemi, szerokiemi potrzebami. Potém szło paziów 24., za nimi prowadzono konie królewskie, które były na wjazd, było ich 36. z temiż bogatemi czaprakami i siedzeniami. Szło zatem karet królewskich 15. Cugi dziwnie piękne różnéj maści, coraz piękniejsze, a szory na każdym cugu inakszą robotą, wszystkie złociste. W ostatniéj karecie bardzo bogatéj było ośm koni masłowatych, bardzo pięknych i rosłych. Przy téj karecie było 30 Szwajcarów z alabardami. Potém prowadzono sześć rumaków, których piękności, fantazyi i bogatego rzędu i siedzenia od kanaków i dyamentów trudno opisać. Każdego rumaka z obu stron prowadzili dwaj masztalerze. Za nimi znowu szła chorągiew w koletach jako i przedtém. Tu się mieszały karety różnego państwa ku ratuszowi jadącego.

Za tém następowało wojsko polskie. Naprzód chorągwi pancernych pięć; tych był półkownikiem JMPan Łowczy koronny Potocki, kawaler i żołnierz, któremu w składności i fantazyi siedzącemu na koniu trudno wyrównać. Chorągwie były JM. Pana Wojewody krakowskiego, JMP. Marszałka nadwornego, JMP. Hetmana litewskiego polnego, Króla nieboszczyka i teraźniejszego Króla J. M. nowozaciężna; wszystkie tak okryte, że pod jedną na dwieście koni mogło się rachować. Tych wszystkich pięknie zordynował JM. Pan Łowczy przed kościołem ś. Wojciecha, że stanęły w oczach Królowi J. M. przejeżdżającemu. Za temi następowały chorągwie usarskie. Pierwsza z proporcami czerwonobiałemi JMP. Marszałka nadwornego, z proporcami żółtoczarnemi JMP. Wojewody krakowskiego; trzecia Królewicza JM. Jakóba, czwarta Króla JM. nowozaciężna z proporcami żółtoczerwonemi. Te chorągwie w liczbie towarzystwa, koniach i porządku, rzędach złotych bogatych, daleko jeszcze przewyższały pancerne. Za temi następowała różnéj Jch M. Panów, Ślachty i Panów wielkość na kilka tysięcy; wszyscy bogato i strojno. Jechali potém Ichmość Panowie Chorążowie, koronny i litewski, trzymający każdy swego narodu chorągiew. Koronna była czerwona, na niéj orzeł srebrem haftowany, w pośródku orła herb królewski. Litewska granatowa z pogonią, srebrem haftowaną. Około Pana Chorążego szło dwóch Tatarów w *tuzłukach* czerwonych i zawojach, którzy się strzemion trzymali. Między Chorążymi jechał J. P. Miecznik koronny z gołym mieczem. Po nich jechał Ichmość trzymający królewskie *insignia*. JM. Pan Generał wielkopolski niósł jabłko złote, berło JMP. Hetman litewski polny, koronę JMP. Wojewoda krakowski. Następował JMP. Marszałek nadworny z laską bogato z wierzchu, w środku i u spodku dyamentami sadzoną, a za nim Król JM. na tymże masłowatym koniu, co i na wjazd, tak pląsy czyniącym; właśnie o godzinie piątéj wjeżdżał przed ratusz, przed którym po grodzkiéj ulicy pieniądze rzucano, takowe jako w dniu koronacyi. Wtém dawano burząco ognia z moździerzów w rynku krakowskim, także z hakownic na około nad kabatami przy ratuszu. Sam Król JM. siedział w szatach polskich, żupan biały lamowy, w kwiaty miotane złote, kontusz z moskiewska wcięto robiony aksamitny granatowy, czapka sobolowa także aksamitna granatowa, na krzyż przepasana perłami uryańskiemi, z boku pióra z sztuką dyamentową, bót żółty, podkówki srebrne, w ręku buzdygan piękny. Jadący wszędzie wesoło poglądał po oknach i częstokroć czapkę zdejmował. Niepodobna, jak mu po polsku przystojnie. Przyjechawszy przed *theatrum*, zsiadł z konia, i trochę posiedziawszy na tronie pod baldachinem, poszedł na ratusz, gdzie mu było posłano sukno czerwone od samego theatrum aż do izby. Tam się ubrał w sandały, albę, dalmatykę, i kapę, jak przy koronacyi. Wdziawszy perukę i na nię koronę włożywszy, berło i jabłko złote mając, szedł z ratusza na tron, przed którym szli parami Ichmość Panowie rajcy. JM. Pan pisarz niósł księgę z prawami i przywilejami miasta; drugi na tacy srebrnéj wielkiéj klucze srebrne. Siadł tedy na tronie Król Jegomość, a JMP. Burmistrz krakowski Stanisław Łopacki miał do niego perorę krótką, któremu JMX. kanclerz odpowiedział od Króla JM. Potém Królowi JM. prezentowano na poduszce księgi, na których rękę poło-

żył, a to na znak konfirmacyi praw i przywilejów, Potém IM. Panowie rajcy przysięgę Królowi JM. oddawali, a rotę przysięgi JW. JMX. Kanclerz wielki koronny czytał, gdzie zaraz przystępowali do pocałowania ręki gołéj J. K. M. Gdy się to skończyło, zawołano 10 panów rajców, których pasował na szlachectwo, trzykroć mieczem uderzywszy każdego. Potém wstawszy z krzesła, na trzy strony szermował mieczem i oddał go JMP. Miecznikowi koronnemu. Zszedłszy tedy z tronu, pieniądze na *theatrum* rzucono po trzy razy tylko, bo złoto było. Powróciwszy Król JM. do ratusza, znowu wziął suknie polskie i w karosę swoję wsiadłszy, jechał do zamku, patrząc po ludziach. Krzyku dosyć było nie tylko w kotły i trąby, ale i pospólstwa wołającego: *Vivat rex!* Przed wjazdem królewskim do ratusza zaprowadzono wina na czterech wozach, które po bokach ratusza na czterech stronach rynku składano i fontanami misternie wystawionemi dla pospolitego ludu wylewano. Założono także publiczną w rynku krakowskim kuchnią, kędy na rożnach drewnianych czterech wołów cabańskich całkiem pieczono, a gotowe między pospólstwo i żołnierstwo rozdawano.

Pamiątki z Krakowa.

Trumna Śgo Stanisława, w katedralnym kościele w Krakowie.

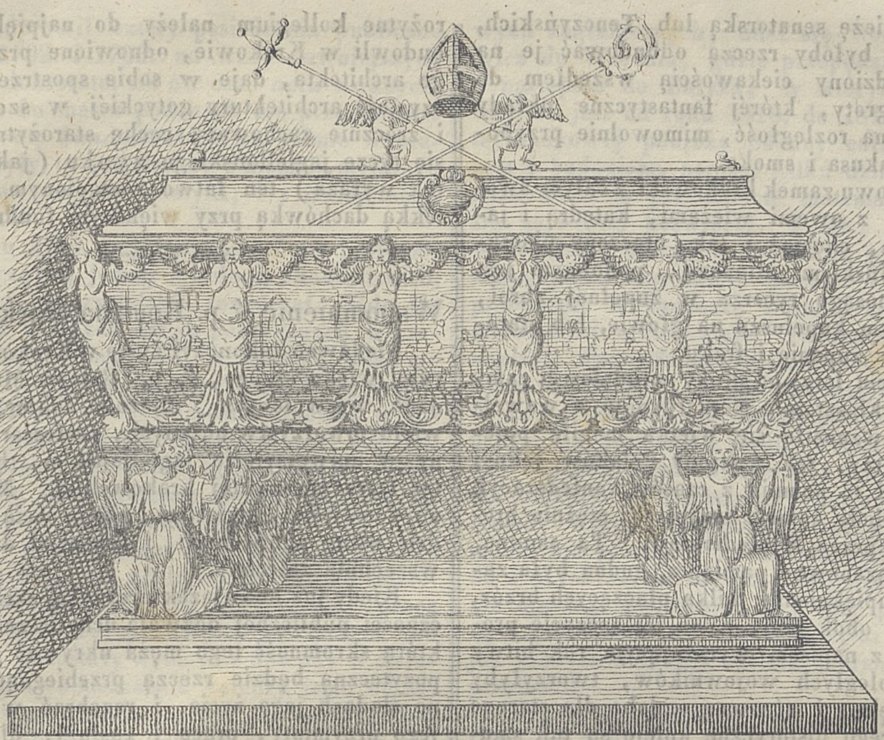
Znasz zapewne miły czytelniku życie i śmierć Stanisława Szczepanowskiego, Biskupa krak., a dzisiaj Śgo Patrona tego miasta. Odważny i gorliwy Kapłan żył pod panowaniem śmiałego i mężnego Bolesława. Porywczy i gniewliwy Monarcha, zabił własną ręką Świętego Biskupa, a śmierć jego męczeńska więcéj ściągnęła na biedną krainę polską, aniżeli bezrząd i rozpusta dumnego Króla i rozpuszczonego rycerstwa. Wyklęty naród, uderzony Bullą Papieża jakby piorunem, utracił Króla i jęczał w odrętwieniu przy zamkniętych podwojach pustych już świątyń. Bezrząd i wszelkiego rodzaju nieszczęścia, lęgły się w sercu i wnętrznościach wyklętego kraju, jak zjadliwa gadzina w komnatach opustoszałego dworca, a śmiały i mężny Monarcha tułając się po obcych krajach, umarł zdaleka od swojego kraju i ojczyzny.

Lecz oprócz historyi pozostało nam wiele legend tak o Bolesławie Śmiałym, jakoteż i Stanisławie Szczepanowskim. Dotąd jeszcze pokazują pod Bolesławiem, o kilka mil odległą od Krakowa wioską, prąd wodny, dzielący Wisłę w poprzek; ma to być droga, którędy Śty Stanisław prowadził wskrzeszonego Piotrowinę przed tron Bolesława; a po śmierci porąbane ciało męczennika cztery białe orły strzegły od psów i ludzi, dopóki pochowanemi nie zostały. Lecz wszystkie te święte dzieje znajdziesz wyryte na srebrnéj jego trumnie, stojącéj w pośrodku krakowskiéj katedry, otoczonéj marmurowemi grobami polskich królów i rycerzy. Ale zwłoki Bolesława w obcéj spoczywają krainie; wyklęty za życia, i po śmierci nie przestał być wygnańcem.

Nieuwłaczając bynajmniéj krakowskiemu Patronowi, wspomnę jednakże i przytoczę zdanie Marcina Gallusa, któren wyrzucając Królowi zbrodnią, że zabił Biskupa, równie nie przepuszcza i Biskupowi winy obywatela; mówi on także, że Stanisław Biskup miał zmowy z Czechami. Marcin Gallus, wielki kronikarz, a nawet wyższy w tym względzie nad swój wiek, wiedział dobrze, że Śty męczennik był narzędziem Rzymu, bynajmniéj nie wiedząc o tém, bo duch owego wieku zasłaniał mu oczy, i kierował jego postępowaniem.

Lecz unikając sądu dwóch tak wielkich ludzi, których tutaj na ziemi osądziły już mijające pokolenia, a na drugim świecie, Bóg, sędzia wszystkich sędziów, będę się starał opisać moim czytelnikom trumnę Śgo Stanisława, która godną jest zapewne jego uwagi i ciekawości. Pomimo albowiem wysokiéj wartości samego srebra, nierównie większą ma zaletę i szacunek pod względem sztuki i szczęśliwych pomysłów w odlewie obrazów otaczających jéj boki; wszystkie te obrazy przedstawiają w płaskorzeźbie sceny wydarte z życia Śgo Stanisława. Na wierzchu trumny umieszczone są: krzyż, pastorał i infuła, godła wielkiego pasterza, utrzymywane przez dwóch aniołków; obok prostoty, łączą myśl stósowną i piękną, całą zaś trumnę utrzymują czterej aniołowie ze srebra, stojący na marmurowym ołtarzu. Trumna ta umieszczona jest na środku kościoła katedralnego, w kaplicy wspaniałéj i pięknéj, fundowanéj przez Marcina Szyszkowskiego, Biskupa krakowskiego, sama zaś trumna jest nakładem Piotra Gębickiego, Biskupa krakowskiego; gdyż dawniejszą, ważącą grzywien 362., przez Królową Elżbietę, siostrę Kazimierza W. sprawioną, Szwedzi za czasów Jana Kazimierza zabrali. Kaplica w pięknym postawiona stylu, lubo cokolwiek niestósowna swoją wielkością do całości katedry, godna jest uwagi przechodniów. Jestto wyniosła kopuła w karpią łuskę, grubo złocona, wsparta na czterech ozdobnych bronzowych filarach, i otoczona lekką żelazną kratą. Co się tyczy zwłók Śgo Stanisława, te zupełnie nie znajdują się w rzeczonéj trumnie, jedynie czaszka jego oprawna w drogie kamienie, bardzo niesłusznie spoczywa sobie w zamkowym skarbcu, jak gdyby ceniono nie szczątki męczennika, tylko złoto i drogie kamienie, w których są zamknięte poświęcone kości, wraz z narodową pamiątką.

Wspomnę tutaj jeszcze, że w tém samém



Trumna Śgo Stanisława w kościele katedralnym krakowskim.

miejscu, gdzie stoi teraz powyżéj wspomniona kaplica, znajdowała się dawniéj inna fundowana przez Króla Zygmunta I., i w téjto kaplicy Królowie polscy wieszali chorągwie zdobyte na nieprzyjaciołach, składając dzięki za odniesione zwycięztwa; znajdowało się tam sztandarów sztuk 51., zdobytych na Krzyżowcach pod Grünwaldem, przez Władysława Jagiełłę, które eksystowały jeszcze w XVI wieku; dzisiaj wszystkie zaginęły, pozostał nam tylko jedynie ornat w skarbcu zamkowym, zrobiony z białego harasowego płaszcza Wgo Mistrza, zabitego w téj bitwie od chudego draba, jak się wyraża Paprocki (Ogród królewski r. 1599.) Szczęściem, że Jàn Długosz przechował nam opisy tych chorągwi, wraz z wizerunkami, robionemi w Krakowie przez Stanisława Durinek, w dziełku pod tytułem: „*Expliciunt Banderia Pruthenorum etc.*“ znajdującym się dotąd w bibliotece katedr. krak.

Takto nikną najpiękniejsze pamiątki, a często nawet zacierają się dla historyi szanowne ślady naszéj przeszłości. Ludzie bez znajomości świata, bez nauki i gustu, zarządzali często w naszym narodzie publicznemi gmachami lub dobrami, niszcząc wszystko to, coby miało wielką wagę dla całego narodu, lecz dla nich było obojętném i nieprzynosiło im żadnéj korzyści.

Teraz zmuszony jestem przenieść uwagę moich czytelników z kościoła katedralnego, aż do stóp wawelskiéj skały, niedawno albowiem przechodząc wedle tych skał, z wielką radością spostrzegłem, jak odbito i odkopywano wchód do owéj jamy smoka (spelunca Draconis) po 10cio-letniém jéj zamurowaniu (1). Wypadło bowiem z planu, ażeby droga (bok jakiegoś trapezu) szła sobie prosto przez wspaniałe okno téj jaskini, utworzone ręką natury; zamurowano więc to okno wraz z całą pamiątką o Krakusie i smoku. Zbieracz pamiątek krakowskich lękał się bardzo, ażeby bok jakiego trojkąta, wysadzanego topolkami, według planu nie wypadł

(1) Po większéj części całe upięknienie miasta winniśmy Wmu Straszewskiemu, jak równie odkopanie powyżéj wspomnionéj jaskini, które uskutecznioném zostało jego nakładem i pod jego własném okiem; niesłuszną byłoby więc rzeczą obwiniać go o wyżéj wspomnione wandalizmy. Powierzając albowiem urządzenie licznych plantacyj i bulewarków miasta, ludziom bez znajomości i gustu, zawiedzionym jedynie został przez nich w swoich zamiarach i chęciach. Nie było to winą Wgo Straszewskiego, że jeometra, jakkolwiek zdatny, jaskinię smoka wziął po prostu za dziurę, którą potrzeba było zarzucić dla uzupełnienia jakiéjś figury jeometrycznéj; że na miejscu dawnéj mogiły postawił wysmukłą altanę, a w inném miejscu zatknął słup jodłowy nakształt masztu, lub pręta mierniczego, po skończonéj pracy.

prosto na wieżę senatorską lub Tenczyńskich, gdyż trudną byłoby rzeczą odbudować je na nowo. Wiedziony ciekawością wszedłem do téj sławnéj groty, któréj fantastyczne układy skał i znaczna rozległość, mimowolnie przypominają i Krakusa i smoka.

I otóż znowu zamek krakowski z całym swoim urokiem, z owemi wieżami, katedrą i jaskinią smoka, chociaż i tak, otoczony plantacyami i chińskiemi altanami, podobnym jest bardzo do posągu rycerza w zupełnéj zbroi, w stósowanym kapeluszu na głowie, lub starego Polaka w żupanie i fraku.

Przed 10ciu laty, od strony południowéj zamku, między klasztorem Bernardynów a wawelską skałą, wznosiła się wielka mogiła poległych żołnierzy, tak z strony Polaków jako i Rossyan, był to pomnik z czasów konfederacyi, z r. 1772., kiedy zamek krakowski mężnie bronionym był przez Konfederatów. Ta smutna, lecz razem szanowna pamiątka, godna była zachowania i upięknienia; kilka płaczących brzóz, zasadzonych obok niéj, a na jéj szczycie prosty kamień z napisem wyrażającym rok bitwy i pamięć poległych wojowników, tworzyłyby rzewną, piękną i stósowną ozdobę dla starego zamku, którego historyczne koleje są tak smutne i zmienne. Zapewne dla planu, zniesiono ją zupełnie, a na jéj miejsce postawiono chińską altanę, któréj widok obudza niemal w każdym oburzenie i zgrozę.

Oprócz chińskiéj altany, od północnéj strony zamku na małéj wyniosłości, postawiono słup bardzo wysoki z metalową banią i długą chorągiewką na wierzchu, nakształt masztu jakiéjś fregaty; w środku zaś przybito tablicę z napisem: „*Nowy świat.*“ Zadziwiony przechodzień, mimowolnie przenieść się musi myślą przynajmniéj do Ameryki, nie mogąc odgadnąć znaczenia tego masztu bez statku pod murami krakowskiego zamku. Gdyby tam postawiono przynajmniéj figurę, jaka się znajduje przy rogatkach w Długiéj ulicy (2), lub posąg jakiegoś monarchy lub rycerza, postać zamku z téj strony o wiele przyjpiękniona by została.

Zwrócę tu jeszcze uwagę czytelnika na piękny gmach kolegii Śgo Jana Kantego. Pomimo niesłusznéj i nietrafnéj krytyki umieszczonéj w Orędowniku (3), przyznać potrzeba, że starożytne kollegium należy do najpiękniejszych budowli w Krakowie, odnowione przez naszego architekta, daje w sobie spostrzegać gust, czystość architektury gotyckiéj w szczegółach, i zręcznie zachowaną cechę starożytności. Co się tycze jagiellońskiego z y n k u (jak się krytyk wyraża) ten łatwo zastąpionym być może lekką dachówką przy większym funduszu.

(2) Starożytna figura, stojąca przy rogatkach w Długiéj ulicy, zasługuje na uwagę znawcy; jestto kamienny filar, zakończony w obelisk, ozdobiony w gotyckim stylu; ma to być kolumna, która przed wiekami służyła za podstawę pogańskiemu Bóstwu.

(3) Anonimowy autor, którego uwagi nad Krakowem czytałem w Orędowniku, krytykując Akademiją, szkołę techniczną, i inne zakłady i budowle, nie miał bynajmniéj na uwadze, że większa część podobnych niedokładności, i że tak powiem śmieszności, nie jest skutkiem naszéj woli i chęci, i tak wykład węgierskiéj filozofii w naszym uniwersytecie jest przepisanym, a zatém i koniecznym. Oberża pod nazwą: K o c h a n o w a nie ma w sobie żadnéj niedorzeczności, i stokroć stósowniéj odbija w Krakowie ze swoją polską intytulacyą K o c h a n ó w, jak owa oberża ruska z długim napisem na czarnéj tablicy: *Table d' Hôte etc.* Nie uważał także, że z y n k, tak nazwany przez niego jagielloński, nie mógł być zastąpionym przez jagiellońską dachówkę, któréj osłabione mury niezniosłyby ciężaru. Co się zaś tyczy uwagi, jakoby *przez głowę Kopernika szorowała sobie deszczówka*, gdyby autor anonim więcéj dał uwagi, przekonałby się, że rynna wcale nie przechodzi przez posąg Kopernika, i nie znieważa jego głowy.

Wspomnienie ś. p. Romana Markiewicza.

Niedawno zakończył życie w Krakowie, w 72 roku wieku swego, ś. p. Roman Markiewicz, nauk wyzwolonych i filozofii doktor, członek wielu towarzystw uczonych, professor wysłużony w uniwersytecie jagiellońskim, były senator Rzeczypospolitéj krakowskiéj. Mąż cnotami domowemi, światłem, gorliwością w zawodzie usług publicznych, i uczonemi dziełmi powszechnie zalecony.

Kiedy już obowiązek przeżyłéj czci i wdzięczności publicznéj dozwala uchylić zasłony, pod którą skromność tego męża ukrywać się lubiła; pożyteczną będzie rzeczą przebiegnąć uważnie po śladach jego życia, i rozebrać w krótkości jego przymioty, prace i zasługi; dla nauki i przykładu tych, którzy z obrazu cnót i chwalebnych czynów budować się umieją; dla dobra nauk, które z ich czcicielami ścisłe zachowując spokrewnienie, wspólnie z niemi zajmują cząstkę historyi i nieśmiertelności; dla serca nakoniec, i z słodkiém wspomnieniem połączonego uczucia tych, którzy go znali i cenili, a dzisiaj pozgonnym kwiatem przyjaźni, czci i wdzięczności pamiątkę jego w oczach świata zaszczytnie uwieńczyć pragną.

Urodził się Roman Markiewicz na Rusi roku 1770. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w 18. roku wieku swego udał się do Krakowa, gdzie niezadługo umieszczony w liczbie kandydatów do stanu nauczycielskiego, złożył uroczyste zaręczenie (manum stipulatam), według starodawnego zwyczaju, w ręce Magnifici Rectoris (w ów czas X. Szabla), że się wyłącznie dobru nauk i wychowaniu młodzieży poświęca. Tu przepędziwszy lat trzy na naukach, odbył, stósownie do przepisów, zwyczajne próby kan-

dydata i odprawił cztery posiedzenia publiczne w latach 1792. i 1793. na wzór dawniejszych dysput do doktoratu, na ów czas *acta* zwanych, na które z dwunastu podanych mu przedmiotów tyleż *rozpraw kandydackich* na piśmie wypracował. Były to przedmioty z filozofii moralnéj, niższéj i wyższéj matematyki, i z umiejętności fizycznych.

W roku 1794. wysłany został na professora do Pińczowa, jednéj z kolonij akademickich, i tam prace nauczycielskie rozpoczął. Gdy jednakże dla zaszłych zmian politycznych w kraju niezadługo obowiązki te ustały, udał się do Galicyi, i przez lat dwa trudnił się domowém młodzieży wychowaniem. Dopiero w roku 1797. dekretem gubernialnym ces. austryackim powołany do liceum krakowskiego, nauczał w niém jako professor publiczny przez lat cztery, to jest aż do roku 1801.

Łatwiéj znaleść ludzi posiadających obszerne wiadomości, niż zdolność szczęśliwą udzielania ich drugim. Z jaką gorliwością, pracą i talentem mąż ten sprawował powierzone mu obowiązki, pozostały wymowne dowody w świadectwach przy opuszczeniu katedry jemu udzielonych, a wymowniejszym był jeszcze głos powszechny, który czcią należną zasługi jego odmierzał.

Nie uszła oczom świata nie tylko cnota i nauka, ale nadto przyjemność i pełen wdzięku dowcip Markiewicza. Znany w wielu znakomitych domach, lubiony i poszukiwany we wszystkich, odznaczył się w nich cechą tego wyższego ukształcenia, tych towarzyskich przymiotów, uprzejmości, znajomości świata, rozsądku, dowcipu, gustu, nareszcie poloru zewnętrznego, które samę nawet zdobiąc naukę i cnotę, podnoszą ich wartość, bo je milszemi i pożądańszemi czynią dla spółeczności. Rówiennicy ś. p. Markiewicza, dzisiaj podeszli wiekiem, wspominają przyjemność i słodycz jego w posiedzeniach, humor wesoły i umiarkowany, żartobliwość kierowaną rozsądkiem, a z niemi połączoną pamięć szczęśliwą i piękną wymowę, których używał szczególniéj w trafném stósowaniu do każdéj rozmowy, powieści i przytoczeń dowcipnych, a któremi zdobił i uprzyjemniał zebrania towarzyskie.

Kiedy więc dla zmienionych widoków politycznych, a z niemi planu edukacyi krajowéj, w r. 1802. przez rząd ces. austryacki mimowolnie umieszczony został na liście Kwiescentów; stanęło dla niego otworem wiele znakomitych domów, które w zawody ubiegały się o jego talenta i naukę. Wśród tak rozlicznych i częstych przemian losu, zachował Markiewicz niewzruszoną spokojność umysłu; żadna zmiana nie potrafiła zwrócić go z jednostajnéj, którą postępował, drogi.

W roku 1805. celem wyższego udoskonalenia się w naukach i poznania urządzeń naukowych zagranicznych, udał się Roman Markiewicz do Wiednia, gdzie przepędził lat cztery, a następnie do Paryża, w którym bawił lat trzy, to jest od roku 1810. do 1813. W ciągu téj naukowéj podróży oddany całkowicie pracom i badaniom, napisał kilka dzieł i rozpraw, mianowicie w przedmiocie matematyki, któréj się najwięcéj poświęcał. I tak, przebywając w Wiedniu, ułożył w łacińskim języku *trygonometryą kulistą*, dzieło obszerne i ważne, wypracowane w zamiarze starania się o katedrę matematyki w Krakowie. W latach następnych napisał: *Początki nauki ilości zbiernéj* (quantitatis concretae), to jest arytmetyki i algebry, w 120 arkuszach. O innych pracach i pismach uczyni się wzmianka niżéj. Przebywając między obcymi, miał zawsze mąż ten przed oczyma zaszczyt swego narodu, pomnąc na to, o czémby wszyscy podróżujący za granicą zapominać nie powinni, że oni stają się miarą sądu i wyobrażenia o nas cudzoziemców, i że nie dla tego podróżują, aby obce pojęcia, błędy i przywary, ale raczéj pożytki prawdziwe, jak słodycz z obcego kwiatu zebraną, do kraju przynosili.

Zapas zgromadzony znacznych wiadomości, i wyższe naukowe uzdatnienie, powoływały go niejako samym odgłosem publicznym do zajęcia w kraju odpowiedniego takim zdolnościom miejsca. Ten głos powszechny kierował zapewne trafnym sądem Stanisława Potockiego, w ów czas władającego stérem oświécenia; od którego przy końcu roku 1812. Roman Markiewicz wezwany na professora fizyki w uniwersytecie krakowskim, zaraz w roku następnym zjechał na objęcie przeznaczonéj mu katedry.

Na tym zostając stopniu, pracy i dobru publicznemu poświęcony, przepędził największą i najpiękniejszą część życia swego. Przekonany, iż ciągły postęp nauk i oświaty ciągłego wymaga kształcenia i doskonalenia się w uczonym zawodzie, po dwa kroć własnym kosztem odwiedził Wrocław, Drezno, Pragę, Lipsk i Berlin. Jakie korzyści przyniosły te naukowe wycieczki dla nauk i samego podróżującego, dowodem są prace Romana Markiewicza w części drukiem ogłoszone, uporządkowane i ulepszone zakłady akademickie, mianowicie we względzie nauk fizycznych (1), i z prawdziwym poży-

(1) Gabinet fizyczny przy Uniwersytecie krakowskim, aż do objęcia katedry przez Romana Markiewicza, ubogi i zaniedbany, jego jedynie staraniem, przy szczupłym ze strony rządu (1000 złp.) zasiłku, wzrósł do tego stopnia, iż sprawiedliwie dziś równać się może z celniejszymi tego rodzaju zagranicznymi zakładami. W podróżach, które mąż ten światły przedsiębrał dla utrzymywania ciągłego związku z uczonymi, nie zapominał nigdy o swym gabinecie, lecz na miejscu u artystów najlepszych zamawiał potrzebne narzędzia fizyczne, starając się uzupełnić niemi zakład akademicki, stósownie do stanu i stopnia saméjże nauki. Do takich należy między innemi zamówiona i sprowadzona przez

tkiem uczącéj się młodzieży wykładane kursa publiczne.

Umiał Markiewicz równie wśród szkoły, jak wśród świata, jednać sobie powszechną wziętość i życzliwość. Przyjemną zawsze postacią, pogodném czołem i łagodną stałością, więcéj niżli wymuszoną powagą, zyskiwał sobie serca młodzieży, podbijał szacunek i poważanie u wszystkich. Posiadał on równą łatwość pisania wierszem i prozą, ojczystym zarówno jak łacińskim, niemieckim i francuzkim językiem. Przecież poezya była tylko dla niego zabawą, któréj niekiedy wolniejsze chwile i to w młodości swojéj poświęcał. Aż do r. 1806. doświadczając swojéj zdolności w poezyi, robił wierszyki i komedyjki, lecz te po większéj części pozostały w rękopismach. Proza jego treściwa i zwięzła, ile w przedmiotach ściśle naukowych, obca niewłaściwym ozdobom i kwiatom, zaspokaja zupełnie czytelnika.

Z dzieł jego, jedne drukiem ogłoszone przeszły już pod sąd uczonéj powszechności, inne pozostałe w rękopismach prywatnym tylko czytelnikom są znajome. Ciekawy miłośnik nie czczych dowcipu błyskotek lub marzeń, ale rzeczy użytecznych, znajdzie w zbiorze pism Markiewicza przedmioty, które nieposlednią zalecają się wartością, zwłaszcza osadzone na właściwém tle swego czasu. Z liczby znacznéj takowych dzieł i rozpraw, celniejsze i znajomsze tu wymieniamy:

niego machina elektryczna, wielka baterya galwaniczna, cały zbiór narzędzi do elektro-magnetyzmu i do teoryi światła. Co większa, wspierał on niekiedy w potrzebie własnym ten gabinet funduszem, jak to uczynił w zakupieniu pięknego wzoru machiny parowéj roboty Bourdona (inżyniera w Paryżu), za który z własnéj kieszeni poniesiony wydatek późniéj dopiero częściami odbierał. A tak, cały stan dzisiejszy gabinetu fizycznego, w którym każda część nauki może już odpowiedniém popartą być doświadczeniem, dziełem jest wyłącznem starań i zabiegów ś. p. Markiewicza.

Gabinet rzeczony, prócz użytku zwyczajnego przy wykładzie nauki z katedry, dostarczał mu jeszcze narzędzi potrzebnych do czynienia postrzeżeń barometrycznych, termometrycznych, hygrometrycznych, tudzież doświadczeń z dészczomiarem, które od roku 1821. aż do końca zawodu nauczycielskiego ciągle z największą dokładnością powtarzał. Widzieć było można tego niespracowanego męża, w godzinach wolnych od obowiązków katedry, ustawicznie zajętego w gabinecie fizycznym robieniem różnych doświadczeń, przy pomocy miłośników nauk fizycznych, zwłaszcza pp. Łuszczkiewicza i Podolskiego, professorów szkoły technicznéj.

Pisma treści matematycznéj i fizycznéj.

1) Trigonometria sphaerica. Dzieło napisane w Wiedniu r. 1806. po łacinie.
2) Wykład początków ilości zbiernéj, (quantitatis concretae) to jest arytmetyki i algebry, w 120 arkuszach in fol. Napisane podobnież w Wiedniu r. 1807. Obadwa te dzieła pozostały w rękopismach, które autor przekazał darem bibliotece uniwersytetu krakowskiego.
3) Zbiór określeń z jeometryi elementarnéj. (W rękopiśmie).
4) O naturze i zasadach fizyki, r. 1814.
5) O własnościach fizycznych, r. 1818.
6) O związku między elektrycznością, galwanizmem a magnetyzmem, r. 1822.
7) Tabulae dilatationem metallorum in observationibus barometricis corrigentes, mensuris metricis applicatae, a. 1823.
8) O wiadomościach potrzebnych do robienia dokładnych postrzeżeń barometrycznych, i wyrachowanie tabliczek poprawczych na miary nowe francuzkie, r. 1825.
9) O użytku i postępie nauk fizycznych w naszych czasach, r. 1827.
10) O ondulacyach czyli falistościach we wszystkich stanach skupienia, r. 1830.
11) O związku i stósunkach między ciepłem, wodą i powietrzem, w działaniach natury, r. 1833.

Powyższe rozprawy, od Nr. 4—11. drukowane są w Rocznikach towarzystwa nauk krakowskiego.

12) Początki fizyki dla szkół gimnazyalnych, drukowane w Krakowie r. 1819.

Wydanie drugie tegoż dzieła, znacznie pomnożonego, wyszło w Krakowie r. 1834. i używane jest dotąd za książkę elementarną w szkołach krakowskich.

(Koniec nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)